Pozwolenie na miłość

Krzysztof Łagojda

Przedwojenny oficer Wojska Polskiego i jego wybranka musieli zazwyczaj spełnić surowe kryteria, by otrzymać pozwolenie na zawarcie związku małżeńskiego. Dbano w ten sposób o prestiż munduru.

Oficer, który chciał dostać pozwolenie na ślub, musiał mieć ukończone 24 lata. Regulowała to ustawa z 1919 roku, zniesiona dopiero 18 lat później. Od 1922 roku para starająca się o sformalizowanie związku miała obowiązek wykazać odpowiednie dochody finansowe, dorównujące pensji kapitana (rotmistrza) Wojska Polskiego. Dodatkowo narzeczona oficera musiała cieszyć się nieposzlakowaną opinią środowiska, z którego pochodziła. Zostały ustanowione specjalne komisje małżeńskie (zniesione w 1932 roku), oceniające kandydatki na oficerskie żony. W 1932 roku przepisy jeszcze bardziej zaostrzono. Narzeczona musiała mieć przynajmniej średnie wykształcenie, a zarobki pary – dorównywać pensji majora.

Z pomocą dziadka

Jeśli łączne dochody były niewystarczające, brakującą sumę mogły przekazywać rodziny, które w ten sposób miały zapewnić małżonkom odpowiednie warunki materialne. – Ponieważ mama nie miała majątku, to mój dziadek ze strony ojca musiał dać gwarancję, że będzie nas jakąś tam kwotą wspomagał – wspomina Krystyna Gołębiowska, córka majora Wojska Polskiego. Od 1932 roku poświadczenie o pomocy finansowej rodziny już nie wystarczało. Należało od razu przekazać oficerowi i jego żonie sumę pieniędzy, która miała zapewnić względną stabilność finansową rodzinie – ok. 10 tys. zł.

Fot. ze zbiorów Krystyny Gołębiowskiej

Zdjęcie ślubne ppor. Henryka Zakrzewskiego z Seweryną Chełchowską; 1927 rok

Oficerowi przysługiwała możliwość odwołania się od decyzji dowódcy jednostki, jeśli ten nie wyraził zgody na zawarcie małżeństwa z powodu niewystarczającego wieku swego podwładnego lub zbyt niskich dochodów pary. Nie było natomiast możliwości odwołania się, jeśli komisja uznała, że kandydatka nie nadaje się na żonę oficera. W takim przypadku wojskowemu pozostawał ożenek bez pozwolenia przełożonego, choć za to groziły kary dyscyplinarne, a nawet wydalenie ze służby wojskowej.

Jednak wszystko wskazuje na to, że wraz z zaostrzaniem się przepisów regulujących zawieranie związków małżeńskich przez oficerów Wojska Polskiego, coraz częściej dochodziło do

nierespektowania narzuconych wytycznych i zawierania przez wojskowych ślubów bez wymaganej zgody. W 1934 roku jeden z dowódców korpusu zanotował: „Od szeregu miesięcy obserwuję chorobliwe zjawisko zawierania małżeństw przez oficerów bez wymaganego zezwolenia. W tej nagminnej chorobie, która toczy młody korpus oficerski, dopatruję się nie tylko kolizji przestępczej z kodeksem karnym, lecz o wiele groźniejszego faktu niedyscypliny wojskowej i lekceważenia rozporządzeń Pana Ministra, co podważa autorytet władz i rzuca cień na morale młodego korpusu oficerskiego". Początkowo za taką niesubordynację karano aresztem na okres nie dłuższy niż miesiąc. Kiedy jednak zauważono, że kary nie przynoszą pożądanych skutków, dochodziło nawet do wydalania oficerów z wojska i przenoszenia ich do rezerwy.

Innym wyjściem z patowej sytuacji było zrezygnowanie z kariery wojskowej i dobrowolne wystąpienie z wojska. – Mój tato miał stopień porucznika, ale podał się do dymisji, ponieważ nie mógł się ożenić z kandydatką nieodpowiadającą warunkom żony oficera – opowiada pragnąca zachować anonimowość córka porucznika Wojska Polskiego.

Porucznik nie dla pianistki

Przepisy, które warunkowały zawarcie związku małżeńskiego, odnosiły się w największym stopniu do kandydatek na żonę oficera. Warto jednak przyjrzeć się temu problemowi z innej perspektywy. Zdarzały się bowiem przypadki, że to oficer Wojska Polskiego nie był odpowiednim kandydatem na męża. Kobieta wywodząca się z wysokiej warstwy społecznej musiała dbać o swój status. W tej kwestii decydujące było zdanie rodziców, którzy mogli wyrazić zgodę na ślub córki lub nie. – Tato mojej mamy, czyli mój dziadek, był adwokatem. Mama była po maturze, znała języki obce – francuski, niemiecki – i grała na fortepianie. To były takie atuty, które wtedy przesądzały o inteligencji. Mój tato był porucznikiem, ale moja babcia uważała, że to jest za mało – opowiada Gizela Nałęcz-Łączyńska, córka kapitana Wojska Polskiego. – Rodziny, które pochodziły z inteligencji, uważały, że mężowie powinni mieć przynajmniej stopień kapitana. Tato przeniósł się do Brześcia nad Bugiem i tam po kilku latach pracy dostał stopień kapitana. Szczęśliwie przyjechał do Poznania i wtedy dopiero moi rodzice się pobrali – dodaje.

Ingerencja rodzin w sprawy małżeńskie nie była czymś wyjątkowym. W tamtych czasach ojciec i matka wciąż mieli decydujące zdanie w sprawie przyszłości dzieci. Oficer najpierw musiał przyjść do rodziców bądź opiekunów wybranki, aby prosić ich o jej rękę. Sprzeciw wobec ich woli był wówczas nie do przyjęcia.

Żonaty mniej bitny?

Okres narzeczeństwa, trwał około trzech, czterech lat. Wspólne zamieszkanie pary przed ślubem było w tamtych czasach niemile widziane. Narzeczeni przebywający w różnych miejscowościach pisali do siebie listy miłosne. Przykładem jest korespondencja Stanisława Głowackiego do Stanisławy Ogrodnik. Głowacki jako osiemnastoletni ochotnik przebywał w 1920 roku na froncie podczas wojny polsko-bolszewickiej. Stacjonując w Łomży, 24 lipca 1920 roku (pięć dni przed atakiem na miasto 3. Korpusu Kawalerii Armii Czerwonej) pisał w liście do swojej wybranki:

„Droga Stasiu! Aniele mój! Dziś niedziela. Przykro mi sobie wspomnieć, bo przychodzą mi na myśl od razu niedziele razem spędzone, a dziś – takie wielkie przestrzenie dzielą nas od siebie, tylko serca razem są. Opisz mi, jak spędziłaś tę niedzielę. Może byłaś u Filipinów na sumie, a wtedy jednocześnie zanosiliśmy modły do Boga, bo ja o 10 byłem w Łomży w kościele. Czyś o mnie pamiętała? Tyle mi się pod ołówek ciśnie myśli, że nie wiem, o czem mam pisać. Ale naprzód daruj mi, o Pani moja, że piszę ołówkiem, ale atramentu nie ma na froncie, w którym mieszkam. Kwiatki te i motylki stąd, z ziemi podlaskiej, niech

List miłosny z 1920 roku por. Stanisława Głowackiego do Stanisławy Ogrodnik...

... i zezwolenie na ich ślub z roku 1923

Fot. ze zbiorów Aliny Głowackiej-Szłapowej

Ci mnie przypomną. Dla Stasi! Zbierałem w lesie obok. 24 lipca 1920 r.”.

List, mimo że pisany chemicznym ołówkiem, przetrwał wraz z dołączonym bukietem kwiatów 94 lata w prywatnych zbiorach Aliny Głowackiej-Szłapowej, córki oficera. Słowa osiemnastoletniego wówczas mężczyzny są niezwykłym świadectwem wysokiego poziomu kultury osobistej i wyjątkowego szacunku wobec narzeczonej.

Zgodę na ślub wydawał najwyższy zwierzchnik oficera, dowódca pułku lub generał brygady. Nie zawsze wymienione wyżej warunki musiały zostać spełnione, aby oficer takie pozwolenie otrzymał, wiele zależało od osobistego zdania przełożonych. Najlepszym przykładem jest właśnie Stanisław Głowacki. Porucznik – mimo młodego wieku, nie mając wymaganego stopnia wojskowego, odbytej do końca służby i odpowiednich dochodów – dostał zgodę na ślub 21 sierpnia 1923 roku, mając zaledwie 21 lat. Pozwolenie uzyskał już po złożeniu pierwszego podania, co również było dość niezwykłe. Najczęściej bowiem przełożeni byli negatywnie nastawieni do przedwczesnego zawierania związków małżeńskich. Uważali, że oficer, który nie jest obciążony sprawami rodzinnymi, będzie lepiej wywiązywał się z obowiązków zawodowych. Generał Marian Przewłocki uważał wręcz, że „żonaty oficer traci co najmniej pięćdziesiąt procent wartości”. W środowisku wojskowym panowało przekonanie, że związki małżeńskie powinny być zawierane późno, wtedy bowiem będą oparte na dojrzałej miłości i solidnych podstawach materialnych.

Fot. ze zbiorów Aliny Głowackiej-Szłapowej

Rodzina Głowackich na spacerze w Przemyślu, 1938 rok

Armia starych kawalerów

Egzekwowanie wszystkich warunków, które miała spełniać para oficerska (wiek pana młodego, zaplecze finansowe, odpowiedni status narzeczonej), skutkowało podwyższeniem średniego wieku, w którym oficerowie formalizowali związek: przeciętnie wynosił on 29 lat – czyli o trzy lata więcej niż w całym społeczeństwie. Franciszek Kusiak w książce *Życie codzienne oficerów Drugiej Rzeczypospolitej* stwierdza: „Aby uzyskać zgodę na małżeństwo, należało być kapitanem lub majorem, a więc trzydziestoletnim mężczyzną”. Nie należy jednak generalizować tego zjawiska.

Nie tylko oficerowie Wojska Polskiego borykali się z rygorami dotyczącymi zawierania związków małżeńskich. Na przykład w latach trzydziestych policję zwykło się określać mianem armii starych kawalerów – właśnie ze względu na utrudnianie szybkich ślubów. Powiedzenie to było przesadą, niemniej w Policji Państwowej również obowiązywały przepisy regulujące zawieranie związków małżeńskich.

W PRL zgoda zwierzchników na ślub nie była już konieczna, a od narzeczonej nie wymagano matury. Przyszła żona oficera, podobnie jak sam wojskowy, musiała jednak być ateistką. – To podlegało ocenie oficerów partyjno-politycznych. Szczególnie pilnował tego sekretarz partii na szczeblu pułku. Małżeństwa w Kościele katolickim, jeśli się zdarzały, skutkowały poważnymi konsekwencjami ponoszonymi przez oficera – wspomina płk Feliks Sawicki. Oficerowie decydujący się na ślub kościelny ryzykowali karierę wojskową, dlatego takie uroczystości nierzadko odbywały się w nocy, w zamkniętym kościele, bez udziału gości.

Wydaje się, że powojenne ograniczenia były łatwiejsze do ominięcia (a raczej: niedostosowanie się do nich było łatwiejsze do ukrycia) niż te z okresu II RP. W obu przypadkach była to ingerencja w życie prywatne – niewyobrażalna dzisiaj.

Krzysztof Łagojda – historyk, doktorant Instytutu Historycznego Uniwersytetu Wrocławskiego

Korzystałem m.in. z książki Piotra Jaźwińskiego *Oficerowie i dżentelmeni. Życie prywatne i służbowe kawalerzystów Drugiej Rzeczpospolitej* (Warszawa 2011).

Fot. ze zbiorów Aliny Głowackiej-Szłapowej

Cała rodzina oficera zaangażowana w patriotyczne obowiązki – Głowaccy pomagają przy budowie kopca Józefa Piłsudskiego w Krakowie; sierpień 1935 roku